PRENUMERATA WYNOSI w Warszawie:
Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 25
rocznie . . . . . rb. 5 k. —
za odnoszenie do domu rb. — k. 10
zmiana adresu . . . . . k 15

WARSZAWA. KRAKÓW.

29 Kwietnia 1911 r.

№ 17.

PRENUMERATA w Krakowie:
kwartalnie kor. 4, rocznie kor. 16.
W GALICYI i AUSTRYI
kwartal. kor. 4.40, rocznie kor. 17.60. Zmiana adresu 40 hal.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . rb. 1.50
rocznie . . . . . rb. 6.—
We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie rb. 1.60.

Redakcya i Administracya w Warszawie, Aleja Jerozolimska 49. Filia w Łodzi, ul. Piotrkowska 81, tel. 12.00, firma „Promień". *Reprezentacya na Galicyę: Kraków,* ul. Zyblikiewicza 8. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha.

CENY OGŁOSZEŃ:
Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce na stronie zewnętrznej okładki kop. 20, na wewnętrznej kop. 15. W tekście kop. 30. I strona okładki kop. 40.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Warszawa, Aleja Jerozolimska 49.**

Samorząd a kobiety.

W Stow. Nieruchomości miasta Warszawy podjęto bardzo żywotną sprawę. Czy kobiety polskie mogą przyjąć udział czynny w pracach samorządu miejskiego.

Żeby postawić całą kwestyę na właściwym gruncie, muszę powiedzieć słówko o tem, czem właściwie jest wyżej wspomniane stowarzyszenie.

Z chwilą gdy na porządek dzienny obrad Dumy Państwowej wypłynęła kwestya zaprowadzenia samorządu w Król. Polskiem i zaczęła przechodzić różne, oddalające ją i zbliżające fluktuacye, obywatele tak Warszawy jak miast prowincyonalnych zrzeszyli się w celu rozważania spraw z gospodarką miejską związanych, wniknięcia w nie bliżej, obznajmienia się z niemi, słowem, wyrobienia się na czynnych działaczy w tym kierunku.

Rezultatem pracy stowarzyszenia jest wydany w b. r. gruby tom p. t. „Sprawy miejskie". Znajdziemy w nim gruntowne rozstrząsanie wszystkich naszych bolączek i niedomagań gospodarki miejskiej.

Gdy kobiety nasze, a w szczególności te, które tworzą związek Równouprawnienia wydały odezwę, wzywającą społeczeństwo do poparcia słusznych żądań, aby i one wzięły równy udział w pracach z samorządem związanych—stowarzyszenie zaprosiło jedną z rzeczniczek tej sprawy, p. Bojanowską, żeby odpowiedni referat na jednem z posiedzeń wypowiedziała i aby można było szerszą dyskusyę na ten temat poprowadzić. Przypomnieć tu z żalem musimy, że pomimo usilnych starań prof. Petrażyckiego, popartych przez niektórych z naszych posłów—Duma uznała udział kobiet w samorządzie za przedwczesny.

Co innego jednak jest prawo pisane, a co innego prawo obyczajowe, które zwyciężyć zawsze z czasem musi zbyteczną formalistykę i obywatelstwo sobie wywalczyć—chodzi tylko o to: czy kobiety polskie zdobyły już sobie rozumem, pracą i wyrobieniem społecznem takie stanowisko, aby ich głos w sprawach związanych z dobrobytem, moralnością i rozwojem umysłowym ogółu, okazał się niezbędnym. Wszystkie kobiety zabierające głos na zebraniu Stowarzyszenia, starały się to uzasadnić—panowie nie szczędzili mniej lub więcej wyraźnych zestawień, zgadzając się w zasadzie na podział praw i obowiązków. P. Bojanowska, główna referentka zebrała bardzo wiele rzeczowego materyału i dowodziła, opierając się szczególniej na przykładach Anglii i państw Skandynawskich, że uzdolnienie kobiet wogóle, w tym zakresie nie powinno podlegać żadnej wątpliwości.

P. Bojanowska usiłowała dać naszym dążeniom w tym kierunku podkład historyczny—zacytowała więc jak w XVIII wieku ks. Jabłonowska znakomicie sprawowała rządy w licznych swoich włościach, jak inne bogate szlachcianki, jak Wielowiejska i Lęcka prowadziły nawet przedsiębiorstwa, a rozszerzały działalność dobroczynną wśród swoich poddanych; dawne to jednak dzieje—od tego czasu wiele burz przeciągnęło nad naszemi głowami, pozmieniały się pojęcia. Doskonale ten przewrót scharakteryzowała dr. Budzińska-Tylicka w swojej odpowiedzi mec. Suligowskiemu. Szanowny prezes Stowarzyszenia przypomniał kodeks Napoleona, który ogranicza prawa kobiet nawet w zarządzie własnym majątkiem, a cóż dopiero w prawach politycznych; skonstatował, że rozprawy toczyć się muszą jedynie na gruncie teoretycznym wobec nie przyznania u nas praw wyborczych kobietom—dodał wreszcie, że wybory na całym kontynencie, a i w Ameryce, odbywają się z takim aparatem przekupstwa, waśni i intryg, że kto wie czy nie korzystniej dla kobiet wypadnie, gdy w nich udziału nie biorą.

Wszystko to jest racya, mówi dr. Budzińska-Tylicka, tak przemawia teorya i doktryna, ale inaczej mocnym głosem woła życie. Co znaczy dla nas kodeks Napoleona, gdy stosunki ekonomiczne kształtują się w ten sposób, że dziś wszędzie praca kobiety jest niezbędną. Przy maszynie fabrycznej trud z mężem dzieli robotnica, rolnikowi w pracy około ziemi towarzyszy—biura, banki, sklepy, kantory pełne są kobiet, a przedsiębiorstwami handlowemi same zarządzają i kierują—gdy wreszcie średni zarobek inteligenta zawodowego, nie może wystarczyć na wykształcenie dzieci, do pomocy w pracy zarobkowej staje mu żona, córka, niekiedy i matka sędziwa. Inna rzecz, że dawno zakorzenione przesądy, każą niżej cenić pracę kobiety niż mężczyzny, że jest ona często wyzyskiwana — nie umniejsza to jednak bynajmniej jej wartości ani zasługi. W walkach wyborczych, o ile chcemy cytować obce kraje, w Ameryce szczególniej, udział kobiet był tą oliwą rozlaną na fale — taktem, rozumem, dobrocią, uśmierzały rozpętane namiętności, łagodziły zawiść i niechęć wzajemną, słowem były czynnikiem prawdziwie cywilizacyjnym. Sądzić by można, że naród polski, który wydał tyle nauczycielek i wychowawczyń, tyle kobiet pracujących na polu społecznem i budzących zapał i energię do czynu, nie odsunie ich od prac samorządnych. I szkolnictwo, i szpitalnictwo potrzebuje współudziału kobiety, nawet zdolności jej gospodarcze dadzą się znakomicie zużytkować w sprawie zaopatrywania

miast w żywność, w ocenie produktów i t. p. stanie się ona pożyteczną i niezbędną. Nic to, że na razie ustawy ograniczają prawa kobiet do udziału w samorządzie—życie musi zrobić swoje i przekształcić z czasem to, co jest z jego prawidłowym biegiem niezgodne.

Od siły charakteru, powagi myślenia kobiet polskich zależy, aby ten proces przyśpieszyć.

W imię bezstronności pragnę jeszcze dodać jedną uwagę—wydawało mi się trochę rażącem w dyskusyi, obwinianie mężczyzn, że oni jedynie kładą kamienie na drodze wyzwalającej się kobiety, mimo całego uznania dla tych rzeczywiście dzielnych i pożytecznych, przyznać trzeba, że wiele jeszcze liczymy wśród nas takich, którym wygodniej jest podtrzymywać teoryę zależności—tłomaczy ona ich lenistwo, dbałość o wygody i chęć zawdzięczania dobrobytu bez pracy—wytężonej pracy mężczyzny. Konieczność jednak ekonomiczna—a może i wzmagające się poczucie godności osobistej, mnożą coraz liczniejsze zastępy pracownic na wszystkich polach, przedzierają się one zwycięzko przez tę błyszczącą pozornie warstwę kobiet powierzchownie pojmujących życie—opanują ją z czasem, rozproszą i pójdą wszędzie tam, gdzie ich obowiązek społeczny powoła.

D. Kosmowska.

WIKTOR GOMULICKI.

Na rozłogach białoruskich.

Szkic powieściowy.

16)

— Przez którego, panie Aronku?, przez którego?

— Przez tego, co jego zowią Kożełło.

— Jakże to było? — dopytywał uczony.

— To było całkiem po prostu. Ja u tego Kozła wziąłem pacht. Było dużo krów i ładne krowy, to ja myślałem, że zrobię wielgi interes. Ale ten Kozioł wymądrzył taki kontrakt i tak mnie nim oplątał, że ja byłem u niego jak mucha w pajęczynie. To jest człowiek... no!.. Żaden żydowski rzezak nie wypruje tak delikatnie wszystkich żyłek z bydlęcia, jak on potrafi delikatnie wyżyłować pachciarza i każdego kto ma z nim interes... On musi być z „naszych"—ja nawet napewno mówię, że on jest z „naszych".

— Straciłeś pan na nim?—badał dalej Szytokryto.

— Czy ja straciłem? Ja bez butów od niego wyszedłem! Pierwszy rok dołożyłem swoich pieniędzy osiemset rubli. To on do mnie mówi:—„Czas traci, czas płaci. Zostań, Aronku, na drugi rok, to się odrobisz"... Ja byłem głupi i zostałem. A jakie to było odrobienie? Takie, że dołożyłem już nie osiemset rubli ale tysiąc pięćset. Przez to ja zbiedniałem i od tego czasu jestem całkiem kapcan.—No, ale mnie teraz trzeba wysiąść. To jest właśnie wioska, do której mam interes. Bardzo panom dziękuję i bardzo przepraszam.

Bryczka stanęła—pan Aronek wysiadł, uprzejmie żegnając się z towarzyszami, i skręcił na boczną drogę, wiodącą do dużego murowanego dworu.

Zanim konie ruszyły, Szytokryto wyciągnął z kieszeni olbrzymi notatnik. Wielkim ołówkiem zapisał w nim skrupulatnie wszystko, co od starego pachciarza usłyszał.

X

O kilka wiorst dalej, wysiadł i uczony. Mirski, żegnając się z nim, niespokojnie oglądał się za kimś, kto-by temu niemłodemu, schorowanemu człowiekowi pomógł dzwigać ciężki worek z książkami. Jakże się zdziwił, widząc Szytokrytę, swobodnie i bez wyraźnego wysiłku zarzucającego sobie ów ciężar na plecy.

— Cóż znowu, szanowny panie!.. Jakże można!..

— Przywykłem, panie łaskawy, przywykłem!.. — wołał tamten, szerokimi krokami oddalając się od bryczki.

Przy pożegnaniu umówili się, że Mirski, wracając przed wieczorem z Łopienicy, zatrzyma się tu, i odwiezie uczonego z powrotem do miasteczka.

Ujechawszy jeszcze kilka wiorst, spostrzegł Mirski, że położenie okolicy zmienia się. Zamiast nużącej swą jednostajnością płaszczyzny, miał on teraz przed sobą grunt falujący, rozległe płaskowzgórza, a pomiędzy niemi wcale głębokie, drobnymi kamykami usiane i płytkim wąwozom podobne, gościńce.

Po długich deszczach ziemia rozmiękła, droga była niegodziwa, a miejscami zgoła nie do przebycia. Warszawiak, choć o piękność obuwia bardzo dbały, wysiadać musiał i iść pieszo po oślizgłym, z pod stopy usuwającym się żwirze.

Właściwością tego niezwykłego krajobrazu było, że jeden i ten sam widok, który podróżny miał przed oczami, nieustannie to ukazywał mu się, to niknął. Już od kilkunastu minut dostrzegał Mirski w najwynioślejszym punkcie okolicy białe mury kościołka, a właściwie cerkwi prawosławnej o dwóch wieżach, uwieńczonych baniastemi kopułami. Kształt tych kopuł i zielona ich barwa kłóciły się z charakterem budowli, wzniesionej w stylu wczesnego baroka. Był w tem dysonans artystyczny, sprawiający dotkliwą przykrość wrażliwej duszy Mirskiego.

Już mu ów kościołek ze trzy razy mignął przed oczami i schował się, czem podrażniony, skierował wzrok w inną stronę.

— Kiedyż nareszcie będzie ta Łopienica?—zagadnął powożącego białorusa.

Tamten zadziwił się, głową pokręcił.

— Nie baczyli?— przeciągle odpowiedział—Ta-że to ona!

I biczem wskazał punkt, w którym wznosiła się cerkiew o zielonych kopułach.

— Chwała Bogu!—ucieszył się Mirski.—To i zaraz będziemy na miejscu.

— Zaraz nie zaraz—przeciągał woźnica.—Wierst jeszcze będzie dwie, albo trzy. A kto jego wie—może i cztery...

— Widzę cerkiew—a gdzie nasz kościół?

Woźnica odwrócił się, zdziwionem spojrzeniem Mirskiego ogarnął.

— On to i nasz—z naciskiem wyrzekł.

Mirski nie ustępował.

— Tu był kościół katolicki—dowodził.—I klasztor był—księży Dominikanów..

Woźnica znów się odwrócił, lecz tym razem nic nie odpowiedział. I tylko, ramionami wzruszając, wpatrywał się w podróżnego takim wzrokiem, jakim patrzyłoby się na człowieka, który z księżyca spadł, lub też przebudził się z letargu, lat czterdzieści z okładem trwającego...

Po spadzistem zboczu wzgórza bryczka potoczyła się żwawiej i rozmowa urwać się musiała.

Po przebyciu kilku jeszcze wzniesień i pochyłości, wjechano na wzgórze, z którego bardzo już wyraźnie widać było ów budynek barokowy ze wschodniemi kopułami. Swym dysonansem estetycznym sprawiał on Mirskiemu tak wielką przykrość, że umyślnie oczy od niego odwracał. Wolał je kierować ku szaro zielonawym, gęsto skupionym kępom drzew, za któremi domyślał się—pałacu.

Nagle dojrzał rzecz nową. Na lewo od drogi, zpośród ciemnych, wilgotnych gąszczów, wychylił się cmentarz. I on wyglądał niezwykle—i w nim krył się jakiś dziwny, gorzej już, niż estetyczny dysonans.

Bok cmentarza ogradzał parkan, stary, na pół spróchniały, po którym rozłaziły się, liszajom podobne, mchy siwe,

zielone, rdzawe. Zbutwiałych desek czepiały się gałązki tarniny, wiciokrzewu, i polnych powojów. Z ponad parkanu wysterczały krzyże, również stare i nadpróchniałe—wszystkie ku sobie pochylone, niby grupa starców rówieśników, opowiadających sobie szeptem dzieje minione.

Zupełnie inne było czoło cmentarza, bokiem do drogi zwrócone. Błyszczały tu niebieską, prawie wesołą barwą nowe, świeżo pomalowane, przejrzyste sztachety, z lekką bramką wjazdową i dwiema przy niej furtkami. Przez sztachety widać było drogę wyżwirowaną, geometrycznie równe rzędy mogiłek, pomniczków kilka murowanych—wszystko porządne, czyste, nowe—i wszystko z krzyżami greckimi.

Mirski kazał woźnicy przystanąć. Wysiadł i dróżką piaszczystą ku cmentarzowi podążył. Jedna z furtek była wypadkiem otwarta, pchnął ją i wszedł do środka.

Jak w wielkich stolicach, obok „nowego miasta" istnieje „stare miasto", tak i na tem białoruskiem *campo santo* był cmentarz nowy i stary. Ale ten drugi, na ostatni plan zepchnięty, krył się lękliwie w głębi i po kątach, zapomniany, zdziczały, gęstwiną potwornie rozrosłych chwastów zagłuszony. Tam też tylko znajdowały się krzyże proste i tablice z napisami, łacińskim alfabetem kreślonemi. Była to przeszłość podwójnie umarła, bo i wykreślona z życia i siłą z pamięci wydarta—zdeptana przytem i w ziemię wbita.

Mirski głowę odkrył, modlił się długo za tych i za tamtych: za mocnych i tryumfujących, oraz za słabych, zwyciężonych i zapomnianych. Myślał, że śmierć uciszyła i pogodziła oba cmentarze, i że walka trwa tylko na powierzchni ziemi, pokój zaś wiekuisty panuje w głębiach jej i po nad nią...

Wychodząc już z cmentarza, na jednym ze starych nagrobków dojrzał, przeczytał i zapamiętał czterowiersz:

Stój, przechodniu, i spojrzyj że tu [człowiek leży.
Dzień za dniem, czas za czasem, [wszystko prędko zbieży.
Co dziś jemu uczynisz, jutro ciebie [czeka,
Zmów wieczne odpocznienie za te[go człowieka.

Pod napisem była data:
„Dnia 23 Augusta 1841 roku."

Rymy były banalne i treść ich banalna — jednak warszawiak spoważniał i w uroczystym nastroju ducha cmentarz opuścił. *(d. c. n.)*

Nasza ankieta w sprawie teatru

dla dzieci i młodzieży.

Co lubią dzieci widzieć w teatrze.

W N-rze 12 „Tygodnika Mód i Powieści", znajdujemy poważny i wytworny głos Józefa Kotarbińskiego w sprawie ważnej i w chwili nasuwającej się kwestyi widowisk dla dzieci i młodzieży.

Każdy rozsądny wychowawca zgodzić się musi na to, że *zbyt częste i zbyt wczesne* prowadzenie dziecka, na widowiska teatralne, nie jest dobre ani pożądane. A wogóle chodzi o to, żeby teatr dał rozrywkę, uwzględniającą wymagania pedagogiczne i artystyczne.

I tu szkopuł. Są przedstawienia popołudniowe, sobotnie *dla młodzieży* ale nie dla dzieci; przedstawienia, które mogą być z korzyścią i bez zbytniego umysłowego znużenia wysłuchane przez młodzież od lat 14—15, ale nie wcześniej. Dziecko młodsze nie obejmie ich treści i nie zrozumie ich.

Dla dzieci pozostają baśni, o których słusznie wspomina autor artykułu, jako o strawie odpowiedniej i pociągającej dla wieku dziecięcego. Istotnie,—repertuar to śliczny; nie możemy jednak zatrzymać się na baśni uscenizowanej, jako na jedynym temacie widowisk, tak jak nie obdarzamy dzieci samemi książkami o treści fantastycznej.

Baśń uscenizowana z całym koniecznym aparatem ubiorów, oświetleń i dekoracyi, toż to wizye śliczne i upajające, konieczne jako części repertuaru teatralnego, ale konieczne obok innego, obok repertuaru rodzajowego, historycznego, obyczajowego, ludowego. Dzieci lubią baśń, ale bodaj i więcej lubią „prawdziwe zdarzenia". Pytanie „czy to było naprawdę?" obija się niezmiernie często o nasze uszy. Przytem baśń, choćby z podkładem moralnym, to zawsze strawa kosmopolityczna, a dzieci nie są kosmopolitami, to rzecz wyrozumowana a nie masz jej w duszy dziecięcej. Wszędzie i w doborze książek szukamy rzeczy swojskich, szukajmyż tego i w repertuarze teatralnym.

Ale my takiego teatru nie mamy, ani nawet repertuaru odpowiedniego, który obok łatwej, treściwej formy, posiadał by wartość literacką, pedagogiczną i potrzebne warunki sceniczne. Pole dla autorów i autorek piszących dla sceny; niechaj dadzą czasem swój talent naszym dzieciom, które przepełniają kinematografy i cyrki. Wszakże nie wahali się dać go w poezyi Konopnicka i Or-Ot, w prozie Sienkiewicz i Sieroszewski.

Stwórzmy repertuar, ustanawiając nad nim ścisły nadzór pedagogiczny i artystyczny, i może znajdzie się ktoś, co poprowadzi wzorowy teatr dla dzieci i młodzieży. *Marya Gerson-Dąbrowska.*

Czy jest repertuar dla dzieci?

Jan Amos Komeński, jeden z największych pedagogów i myślicieli porównał duszę dziecka do szklanej kuli, w której wszystko, co ją otacza, przegląda się i odzwierciadla; porównał ją też do wosku, na którym pięczęć odbija niezatarte ślady. Widzimy stąd jak wielkie przypisywał znaczenie wrażeniom, które z zewnątrz odbiera dusza dziecka. Zwłaszcza sprawie przedstawień teatralnych dla dzieci, te myśli wielkiego pedagoga powinny nam być bliskie i pamiętne. Boć teatr na dorosłych działa nieraz w sposób nader silny, wstrząsający, zostawiając nie zatarte wrażenia. Cóż dopiero powiedzieć o duszy dziecka tak czułej i wrażliwej?.. Tam może on czynić wielkie krzywdy lub dawać wielkie korzyści. Dobór sztuk w tym razie i ich wystawa stanowi o wszystkiem. *Niestety, repertuaru podobnych widowisk dla dzieci poważna pedagogia nie zna...*

O ile więc przedstawienia dla młodzieży, przygotowanej do słuchania wybranych sztuk z Szekspira, Słowackiego, Szyllera i innych, zawsze znajdą uznanie w oczach wychowawców, o tyle przedstawienia teatralne dla dzieci pozbawione odpowiedniego repertuaru nie unikną uzasadnionych i słusznych zarzutów. *Stefan Gębarski.*

Co najwięcej oddziaływa na umysły dziecięce?

Obcowanie z dziećmi i młodzieżą wpoiło we mnie przeświadczenie, że na umysły młode zawsze najsilniej oddziaływa fantazya, wrażenia estetyczne i uczucia wzniosłe. Sądzę, iż jest to wskazówką metody, jaką należy się posiłkować w kształceniu takich umysłów. Jedną z najodpowiedniejszych potemu dróg wydaje mi się teatr, prowadzony w myśl wskazań artykułu p. Józ. Kotarbińskiego. Jestem przekonany, że taki teatr pociągnąłby ku sobie zresztą nie tylko młodzież, lecz i szeroki tłum ludzi dojrzałych, który jeżeli obecnie woli operetki, czyni to z powodu braku w tea-

trze przedstawień, przystosowanych do jego umysłowości i do pożądanej przezeń formy rozrywki, a poniekąd czyni to i z braku kultury estetycznej, której dzisiejszy teatr, nie przeznaczony dla szerszej publiczności, nie może w niej wyrobić. Pesymizm, stanowiący osnowę nowszej literatury dramatycznej, jest niedpowiedni nie tylko dla dusz dopiero się kształcących, jak sądzi autor rzeczonego artykułu, lecz i dla umysłów i uczuć szerokich mas publiczności zwykłej, dla której zbyt subtelna analiza psychiczna jest niedostępna. Mamy go zresztą tyle w codziennych stosunkach życiowych, że w chwilach odpoczynku i zapomnienia o troskach powszednich chcielibyśmy widzieć obraz życia świetlanego, przedstawiony nawet tylko jako ideał, lub choćby jako ułudę. Nawet dorośli bowiem lubią bajki, nawet dla dorosłych bajka stanowić może element kształcący umysł i serce, byleby bajka była istotnie piękną, byleby była wytworem prawdziwego talentu. Sztuki teatralne, działające na fantazyę, idealizujące piękno, wystawiające tryumf prawdy i sprawiedliwości, porywają dusze tłumów nie mniej niż umysły i serca młodzieży, podnoszą je i uszlachetniają, wystawiając, niezależnie od danego stanu stosunków ludzkich, te zasady ogólnoludzkie i te wytyczne, któremi rozwój ludzkości kroczyć winien. Samo wykazywanie ujemnych stron życia, czy ujemnych typów ludzkich, którem piśmiennictwo spółczesne przeważnie jest zajęte, bez wskazywania ideału życia lepszego, nie prowadzi do poprawy stosunków, a źleby świadczyło o znaczeniu teatru, gdyby się tego zadania, stanowiącego jedno z ważniejszych zadań jego, dawniej ściśle przestrzeganego, zamierzał wyrzec. Wystawianie ideału stosunków ludzkich, opromienionych aureolą dobra i sprawiedliwości, prawdy i piękna, staje się tem bardziej obowiązkiem, gdy chodzi o wskazanie dróg i celów życia umysłom i sercom młodocianym, wrażliwym na te pierwiastki życia duchowego i zdolnym włączyć je w zasady swych myśli i czynów. Będzie to, jak słusznie sądzi p. J. Kotarbiński, posiew, który plon wyda w przyszłości, plon niewątpliwie żyzny i piękny. *M. Heilpern.*

Kiedy teatr staje się czynnikiem wychowawczym?

Myśl teatru dla młodzieży w zasadzie jest piękną, lecz jak daleką od idealnego jej urzeczywistnienia. Wprowadzone u nas od niedawnego czasu przedstawienia dla młodzieży, początkowo bawiły ją jako nowość dnia, a gdy się młodzież oswoiła z niemi, zainteresowanie poczęło zatrważająco słabnąć. Złożono winę na karb przepracowania młodzieży, czyniąc poważny zarzut szkolnictwu polskiemu. Lecz czy tak jest w istocie? Nie, stanowczo nie. Przyczyny należy szukać głębiej w społeczeństwie samem. Społeczeństwo nasze naogół lubujące się w lekkich i płytkich farsach, operetkach i przedstawieniach kabaretowych, nie stworzyło odpowiedniej atmosfery dziecku, które słysząc od wczesnych lat pieprzne dowcipy, melodye operetkowe i kabaretowe, mimowoli poczyna interesować się tem, czem starsi, i pomimo strofowań i zakazów tem intensywniej pragnie poznać to czego mu bronią.

Młodzież dzisiejsza dość wcześnie chce kosztować owoców zakazanych, to też i zbyt wcześnie przekracza podwoje podkasanej Muzy. Nieliczna garstka interesuje się naprawdę sztuką. W tych warunkach stwarzanie teatru dla młodzieży chybia celu: większość odstrasza, niż zachęca. Młodzież dzisiejsza zbyt wcześnie pozując na dorosłych, nie lubi interesować się rzeczami stosownemi jej wiekowi, zwłaszcza zapoczątkowanemi przez starszych. To tylko podobać się może młodzieży co ona zaprojektuje. Myśl szlachetna bądź płocha przez nią rzucona, natychmiast w czyn się przyobleka. To też teatry amatorskie, kółka dramatyczne, stwarzane przez młodzież cieszą się niezwykłem powodzeniem. Kierownictwo wtedy młodzież sama chętnie powierza osobie starszej, kompetentnej w tym przedmiocie. Tutaj dopiero zaczyna się pole naszej działalności pedagogicznej. Od umiejętnego wyzyskania dobrej chęci młodego pokolenia, zależy przyszłe jej zamiłowanie prawdziwej sztuki. Zapoznajmy ją wtedy z dziełami tragików greckich, z dramatami Szekspira opuszczając miejsca nie właściwe wiekowi, niezgodne z duchem czasu, a przedewszystkiem z utworami o pogodnym nastroju, z jasnymi obrazkami scenicznymi, sztukami obyczajowemi, komedyami tryskającemi zdrowym dowcipem, unikając utworów fantastycznych, rozbudzających chorobliwie wyobraźnię. Zachęcamy potem do zobaczenia na scenie w celu uplastycznienia sobie tego wszystkiego. Przy dobrem wykonaniu nie jedna piękna myśl, która wydawała się bezbarwną nabierze innego koloru, uwypukli się, a wtedy teatr odegra prawdziwą swą role wychowawcza.

Janusz Lipnicki.

Jubileusz poety.

W najmniej przyjaznych dla poezyi czasach stanął w gronie naszych pieśniarzy Wiktor Gomulicki i przez czterdzieści lat wytrwał godnie na obranej placówce. Był artystą w każdym calu, ukochał mowę polską, i umiał z niej powiewne, strojne i mocne wydobyć dźwięki. Nie sprzeniewierzył się swemu powołaniu, nie zniżył się do rzemieślniczej roboty, był wyznawcą piękna, krzepił serca nasze i umysły, napawał dusze artystyczną rozkoszą, wskrzeszał obrazy przeszłości naszej w swych nowelach, kochał zabytki naszego miasta, pracował w cichości, wytrwale, szanując godność pisarza polskiego. Ciernisty ten zawód niedał mu zaszczytów ani bogactw, ale uwieńczył jego czoło niejednym liściem rzetelnej zasługi. Grono redaktorów i literatów naszych chcąc uczcić tę zasługę poety wydało odezwę nastepującą:

„W r. b. przypada 40-lecie poetyckiej i powieściopisarskiej działalności Wiktora Gomulickiego, wielkiego liryka i prawego artysty. Jubilatowi należy się wypoczynek i otucha do dalszej pracy bez troski o najbliższe jutro. Wierząc silnie, że ta zasłużona zapłata będzie mu dana, ogłaszamy niniejszem prenumeratę na *„Wybór nowel Wiktora Gomulickiego“*, na wyłączną korzyść autora. Wybór ten, zawarty w jednym wielkim tomie, ilustrowany będzie przez najpierwszych artystów polskich i obejmie najprzedniejsze perły twórczości nowelistycznej autora „Miecza i łokcia“. Cena egzemplarza w prenumeracie wynosi 3 rb., które nadsyłać należy do redakcyi „Tygodnika Mód i powieści“.

Tuszymy, że społeczeństwo polskie, pojmując całą doniosłość tej formy uznania, pośpieszy z wyrazem hołdu dla talentu i zasługi.

Zygmunt Balicki, Jan Lorentowicz, Konrad Olchowicz, Artur Oppman, Henryk Sienkiewicz, Ludwik Straszewicz, Kazimierz Tetmajer, Józef Weyssenhoff, Józef Wolff“.

Nie wątpimy, że prenumeratorki nasze pośpieszą na to sympatyczne wezwanie Koleżeńskiego Komitetu. A wzbogacając swe zbiory książkowe cennymi klejnotami naszej literatury, dadzą wyraz uznania dla pracy wielkiego poety, którego imię zdobi właśnie szpalty „Tygodnika“.

R.

Lista abonentów na „Wybór nowel Wiktora Gomulickiego“ wydanie jubileuszowe.

Józefowa Kotarbińska 3 rb.

Dr. Z. Wszeborowa 3 rb.

Z tygodnia na tydzień.

Miesiąc kwiecień jest epoką ogólnych zebrań.

Teraz oto dzień każdy przynosi wiadomości, zebrane za ubiegły rok działalności rozmaitych stowarzyszeń, już to zarobkowych, już to społecznych. Przedstawiany bywa członkom bilans, omawiane złe i dobre przygody ubiegłego roku, układany budżet i plan działań na najbliższą przyszłość.

Stowarzyszenia zarobkowe wydzielają członkom swoim dywidendę.

Stowarzyszenia społeczne, założone dla korzyści ogółu, reasumują to, czego dokonać zdołały.

Pierwsze zrzeszenia mniej nas w tej chwili obchodzą. Natomiast o drugich należy pomówić, ponieważ nie mało one przyczyniają troski temu, co obserwuje rozwój polskiego społeczeństwa i jest zdolny z pomyślności ogólnej się cieszyć, a więc i musi się smucić z zastoju i regresu społecznego.

Otóż w obecnej epoce roku, dają się częściej i głośniej aniżeli kiedyindziej słyszeć narzekania *na słomiany ogień*, którym tak łatwo się zapala polska dusza.

— Od kiedy społeczeństwo nasze, dzięki nowemu prawu z roku 1905, otrzymało możność tworzenia związków i stowarzyszeń, powstało ich mnóstwo rozmaitych — zaczął się użalać przedemną jeden z przyjaciół, czynny w kilku stowarzyszeniach — ludzie przystępowali do tych towarzystw z wielką chęcią, zapisywali się skwapliwie na listę składek, wybierali i dawali się wybierać na rozmaite urzędy z lekkiem sercem. I zdawało się, że nastąpiła jakaś era niezwykłego rozwoju dla naszego społeczeństwa. Tymczasem pokazało się, że było w tem dużo krótkiego słomianego ognia polskiego, który świeci jaskrawo i wesoło, ale grzeje mało, a gaśnie prędko.

— Jednak stowarzyszeń mamy jeszcze za mało—wtrąciłem Nie wolno nam zakładać oświatowych związków. Macierz zamknięto, kursy ograniczono, związkowi katolickiemu odjęto prawo zajmowania się sprawami oświaty. Również i stowarzyszenia robotnicze nie mogą powstawać, ile by ich trzeba.

— A jednak to jest faktem niezawodnym, że te stowarzyszenia, które mamy, są słabo podtrzymywane przez członków. Wyjątkowe tylko prosperują. Większość wegetuje. Niektóre zamierają, składki zalegają. Członkowie zarządu nie przychodzą na zebrania. Prezesi nie rozwijają dość energii. Nasz charakter słaby, nie wytrwały, łatwo dający się podniecić impulsom i rozgrzać ciepłem słowem, mięknie gdy idzie o dotrzymanie zobowiązania na czas dłuższy.

Wobec tych narzekań, w ogromnej części słusznych, należy jednak zauważyć, że społeczeństwo nasze niesie ciężar nad siły.

Weźmy choćby pod rozbiór sytuacyę szkoły polskiej. Jest ona droga, pomimo, że społeczeństwo w rozmaity sposób przychodzi jej z pomocą, już to tworząc towarzystwa, które są właścicielami szkół, zgoła nie szukającymi zysków, lecz przeciwnie, gotowymi do ofiar; już to tworząc przy szkołach koła pomocy, już to dając liczne stypendya niezamożnym uczniom. Wszystko to jednak w rezultacie płynie z jednego, ogólnego źródła, jakiem jest bogactwo kraju,— a ten kraj, który ledwie, że może utrzymywać szkołę polską, musi jednakże, w drodze podatków przymusowych, utrzymywać rosyjską, rządową szkołę w kraju.

Toż samo mniej więcej jest i na wielu innych polach pracy. Podatki w kraju są wybierane na cele różne, między tem i kulturalne, a tymczasem tej kultury tak mało się tą drogą wprowadza, że kraj nasz słynie niemal z brudu i zaniedbania, czego dowodem są choćby miasteczka nasze i analfabetyzm ludu.

I tu więc, chcąc cośkolwiek zrobić dla kultury, musimy dwojaki podatek składać: przymusowy i dobrowolny.

Jednakże do dobrowolnego podatku stają sami tylko ochotnicy. Tych jest u nas, co prawda, nie mało. Ale oni muszą dźwigać ciężar za siebie i za innych, a tych innych jest w każdym razie znacznie więcej.

Otóż zdarza się, że temu i owemu z ochotników sił nie staje.

Dodajmy, że składki na ogół, wyznaczono u nas niemałe. Po dwadzieścia pięć rubli rocznie, po dwadzieścia i po dziesięć. I to właśnie z tak drogo opodatkowanych towarzystw dezercya jest największa. Lepiej się trzymają towarzystwa, które wyznaczyły umiarkowany podatek dla swych członków, jak Towarzystwo przemysłu Ludowego lub Towarzystwo Psychologiczne. Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Krajowemi, które wymaga tylko jednego rubla od swoich zwolenników, zdołało zachować ich więcej niż inne kulturalne nasze zrzeszenia.

Właśnie w tych dniach biadał przedemną jeden ze znajomych:

— Kiedym tylko dwoje dzieci posyłał do szkoły, mogłem pozwolić sobie na to, żem był członkiem siedmiu kulturalnych towarzystw i prenumerowałem pięć pism. Kosztowało mnie to rocznie przeszło dwieście rubli. Ale gdy trzeba było i trzecie posłać do szkoły, musiałem się ograniczyć do niezbędnych rzeczy i zredukować członkowskie składki i abonament pism do minimum.

Jednakże w tym roku z niespodziewaną pomocą rozmaitym instytucyom pośpieszyły dary i zapisy.

I słusznie jedno z pism zauważyło, iż nigdy u nas nie sypnięto tak hojnemi pieniędzmi na podtrzymanie instytucyi ogólnego znaczenia, co w tym roku.

Oto najgłówniejsze sumy:

Księżna Michałowa Radziwiłłowa buduje równocześnie trzy kościoły na Pradze, a wokoło jednego z nich powstaną domy dla rozmaitych filantropijnych siedlisk. Dar ten oceniają na milion rubli.

Hr. Józef Potocki dał dwieście tysięcy rubli na własny gmach Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, co wywołało pewną ilość darów mniejszych, które jednakże z wielkim pożytkiem dla nauki polskiej zostaną wydane.

Panna Szlenkierówna buduje szpital dla dzieci kosztem kroci.

Pani Reslerowa złożyła również króciowy dar na szkołę praską.

Ś. p. Anna Bothe kroćiowym zapisem zapomogła wiele naszych dobroczynnych i kulturalnych stowarzyszeń.

Ś. p. Żurakowski, obywatel żytomierski, zapisał na cele kulturalne 25 tysięcy rubli, od których dochody zużytkowywać będzie nasze Towarzystwo Przemysłu Ludowego do czasu, aż w kraju powstanie instytucya pokrewna Macierzy Szkolnej.

Co razem czyni dwa miliony ofiar, darów i zapisów, które idą na podtrzymanie naszej kultury w roku pańskim 1911.

Równoważy to narzekania, jakie dają się słyszeć w dobie zebrań ogólnych dorocznych...

Wincenty Kosiakiewicz.

JÓZEF ROSTAFIŃSKI.

Kochajmy naszą przyrodę.

Stałem niegdyś na szczycie Atlasu, zwanym „Oko świata." Ujrzałem zeń żółtawe, jakby z kości słoniowej wyrzeźbione góry, opasane u stóp zielenią i łany zbóż w dolinie. Widziałem w dali z jednej strony bezbrzeżne, płowe przestrzenie Sahary, z drugiej aż po hiszpańskie wybrzeża barwnie mieniące się fale Śródziemnego morza. Serce mi drgało rozkoszą —rozkoszą najszlachetniejszą — rozkoszą wywołaną pięknem. A jednak skoro napawałem wzrok do sytości, myśl moja rwała się w granitowe złomy Tatr, do tych mazowieckich sinawych zdala borów, do naszych łąk cudnie wiosną rozkwieconych, na Chełmową górę pod Ojcowem, skąd widne wieżyce Krakowa i królewski Wawel, nad brzegi Gopła nad którym niegdyś zajaśniał znak krzyża, co nam dał zachodnią cywilizacyę i miał nas wieść do wielkich czynów, aż do odsieczy pod Wiedniem.

Stąpałem kiedyś wśród cedrowych borów i w mroku laurowej odwiecznej puszczy, nie może mi wyjść z pamięci brzoskwiniowy cały kwitnący gaj w czeluściach bazaltowej nagiej doliny, u stóp wygasłego wulkanu, podziwiałem długie godziny fosforyzujące fale oceanu, a przecież zawsze myśl moja wybiegała:

Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świeżop, gryka jak śnieg [biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej z rzadka ciche grusze siedzą.

Wybiegała mi dusza, dla czego?

Dla tego, że prababka moja opowiadała mi, małemu dziecku—jako naoczny świadek, o przysiędze Kościuszki na krakowskim rynku, że babka pokazywała mi ten fotel na którym siedział książe Józef na balu mieszczan w Sukiennicach, dla tego, że matka moja nauczyła mnie „Kto się w opiekę", uczyła mnie śpiewów historycznych, bo ojciec mój opowiadał mi o procesie wytoczonym mu w Krakowie, na żądanie trzech obcych mocarstw, za rozszerzenie wśród kolegów pisma Mickiewicza, bo jako chłopiec dorastający słyszałem w Warszawie cichy lud śpiewający w kościołach. „Przed oczy twoje Panie winy nasze składamy" i cierpiałem z innymi, że nie był wysłuchany! Dla tego więc myśl moja wybiegła i wybiega do naszej przyrody, bo ona jest częścią naszej ojczyzny.

Ojczyzna to nietylko ten jędrny, dorodny, dźwięczny język, w którym Skarga gromił wybryki, Kochanowski opłakiwał Urszulkę, w którym Słowacki powiedział:

„W noc nawet i ślepy
Poznałby te stepy
Po kwiatów rodzinnych zapachu".

— To nietylko nasze Trzy króle i szopka, dzielenie się wielkanocnemi pisankami, płonące ognie sobótek, wigilia ze wschodem gwiazdy — słowem nietylko nasz narodowy obyczaj — nietylko cywilizacyjny dorobek chwały i wiary naszych ojców, za które gotowibyśby żyć i umierać, za które umiemy dziś bezbrzeżnie cierpieć—to nietylko nieskalana czara godności narodowej—to nietylko wszystko, ale też i nasza przyroda.

Więc kochajmy ją właśnie dla tego. Kto kocha, ten szanuje. Więc szanujmy znojną dłoń wieśniaka, co kraje czarną skibę roli i każdego uczciwego narodowego pracownika, czy kielnię, czy wagę, czy pióro w ręku trzyma, szanujmy stare zabytki zarówno sztuki jak i przyrody—wszystko co jest z tą ziemią związane, szanujmy i kochajmy, bo to cząstka naszej Ojczyzny.

Pisałem w Krakowie 2 Kwietnia 1911 r.

Józef Rostafiński.

ANTONI MIECZNIK.

KU PRAWDZIE.

5)

I oto dusza jego tak mówić poczęła:

— Zbrodniarz, którego świat piętnuje, mniej jest grzeszny, aniżeli człowiek, co szacunek ludzki zyskawszy, oszukuje duszę własną. Bo czemże jest, jeżeli nie oszustwem: spokój pozorny, pokrywający zdradę, szczerość udana, przynęta dla naiwnych, czczość serca i pustka, które świat uważa za pełnię natchnienia. Zbrodniarza, zabójcę, karzą i na tem koniec; obłudnika, co na laurach spoczywa, nikt nie karze, schodzi on z ziemi, pozostawiając po sobie truciznę.

— Ja również truciznę po sobie zostawię, przyczynię się do tego, by pokolenia, co nadejść mają niczem innem, jeno grzechem oddychały.

— Dla mnie sprawiedliwości nie może być—choć jest dla napiętnowanego nawet zbrodniarza. Jeżeli przeto żyje we mnie Chrystus, to tylko taki, co przebacza, co się lituje: Chrystus miłosierdzia.

Tu zatrzymała się myśl Skalskiego.

Nie malował więcej, tylko wczuwał się w wiekuiste miłosierdzie tej wizyi dobrej, co miała ożywić omdlewające serce jego.

Stał się przytem bardzo cichy i bardzo łagodny, słyszał bowiem i czytał, że łaska miłosierdzia boskiego zstępuje do dusz cichych. A on łaknął tej łaski Bożej, tego promienia niebieskiego, któryby mu głębię duszy rozświetlił.

Więc czekał. Już mu się też chwilami wydawało, że wzbiera w nim fala jakiejś przeogromnej żałości. Było mu wówczas lżej, ale owa żałość jeszcze się nie przedarła, lecz trwała pod sercem.

Kończyło się lato. Skalski chodził po ściętych polach ku łące nad rzeczką. Tu zwykle siadywał pod wierzbą i zapatrzywszy się w wodę, rozmyślał nad sobą. Czytywał też codziennie ewangelię, ale myśl słów Bożych nie łączyła się z jego myślą.

— Księga, której treść przebrzmiała—mówił do siebie—płynęła z tej księgi życia i spłynęła...

Ogarniało go wielkie zwątpienie; było ono pomięszane z lękiem i niemocą.

Pewnego razu, ubierając się, spojrzał uważniej w lustro i zadrżał. Widział, jak posunął się w lata. We włosach, w brodzie, srebrzyły się nici białe, a było ich tyle, że gdyby chciał nawet, nie mógłby policzyć. Wychódł i znędzniał.

— Więc to ja jestem?—pytał cicho.

Gorycz zalała mu serce: I w głębinach duszy jego coś zadrżało: to był bunt porażonej śmiertelnie pychy.

— Co ia tu właściwie robię?—myślał—Co ja robię w tym zaczarowanym klasztorze. Przyjechałem tu pełen zdrowia, młody jeszcze, a jestem...

— Stary, niezdatny do życia i użycia.

Wydało mu się, że to ktoś za nim stoi i zeń szydzi, śmieje się, chichocze, powtarzając:

— Stary, stary...

Skalski zerwał się i począł jak szalony biegać po celi.

— Ja tu zginę w tych murach—wołało coś w nim.—Ale zginąć jeszcze nie chcę. Świat świętych przywidzeń ciągnie mnie w przepaść. Lecz ja nie chcę, nie dam się: życia pragnę, tego namacalnego, realnego życia. To nieprawda, żebym był zły, to nieprawda, żebym był gorszy od innych, tysięcy innych. Cóż ja takiego uczyniłem? Co?.. Nic. Nazywają mnie porządnym, bo nim jestem. Nie splamiłem honoru, a te tam różne rzeczy?.. To przecież każdy popełnia i nie wstydzi się. Otrząsnąć się trzeba. Chrystus był, teraz go niema; gdy był, widzieli go artyści i malowali. Niema już Chrystusa, bo czemże on mógłby być?..

Postanowił też, nie oglądając się na nic, wyjechać z Krasawskiego klasztoru i wrócić do dawnego życia.

Ubrał się więc staranniej niż zwykle i zaczął pakować rzeczy. Przy tej robocie zastał go ks. Andrzej.

— Cóż to takiego?—spytał.

— Nic — odrzekł Skalski — wyjeżdżam, wracam.

— Dokąd?

— Do świata — wyrzucił z siebie artysta i spłonął.—Trudno, księże, nie mogę namalować Chrystusa takiego, jakiego chciałem. Nie czuję... nie czuję—powtórzył z naciskiem.—I nie chcę czuć, nie chcę... Patrz, księże, co się ze mną stało—od myśli, z których ani mnie, ani nikomu na świecie nic nie przyjdzie, osiwiałem. Widzisz, księże, żem stary?..

Ksiądz słuchał uważnie i milczał.

— Zawieście na ołtarzach te obrazy, które w wiekach ubiegłych zostały stworzone. W nich jest istotnie ta naiwna boskość, na którą z nas, ludzi współczesnych, nikt zdobyć się nie może. No, bo nie może... Ja nie czuję Chrystusa...—powtarzał. *(c. d. n.).*

KALENDARZYK HISTORYCZNY.

Dnia 20-go kwietnia r. 1674, w sześć miesięcy po śmierci Michała Korybuta, zebrał się w Warszawie sejm elekcyjny dla wyboru nowego króla.

Dnia 23-go kwietnia r. 1794 wybuch powstania w Wilnie.

Dnia 26-go kwietnia r. 1771 zwycięstwo Kazimierza Puławskiego nad wojskiem rosyjskiem, dowodzonem przez Drewicza pod Częstochową.

Dnia 29-go kwietnia r. 1512, Konstanty książe Ostrogski i Przecław Lanckoroński pobili pod Wiśniowcem Tatarów.

Opisy do N-ru 17-go.

N. 1. Kostium spacerowy dla młodej osoby.



Wszystkie szczegóły tego modelu odpowiadają wymaganiem najświeższej mody: zestawienie materyału gładkiego i w paski, krótki żakiecik, kołnierz marynarski, fason kapelusza i parasolik o długiej lasce. Na kostium użyta wełna serge bardzo ładnego jasno-szafirowego koloru; całość składa się z krótkiej spódniczki w cztery bryty, z których boczne zachodzą płaską fałdą na przód i bryt tylny, zakończone szeroką skośną plisą z materyi w pasy białe i czarne. Wzdłuż plisy bryty boczne spadają luźno, podszyte atłasem szafirowym i naśladują tunikę. Żakiecik modną krótką formą, zaledwie wpadający do figury, jest środkiem przodu i pleców oddzielony w prosty plastron, wierzchem zastebnowany. Kołnierz marynarski, wysokie mankiety u wązkich rękawów i pliska z boków są z materyi w pasy; krawatka czarna atłasowa; dwa rzędy guzików szmuklerskich szafirowych. Szmizetka tiulowa z kołnierzykiem stojącym. Kapelusz włosienny (fason Napoleon) czarny, przybrany materyą w pasy czarne i niebieskie, z której uszyte są skrzydełka naśladujące pióra, podszyte gładkim atłasem.

N. 2. Ubranie spacerowe.



Suknia d'aprés midi odrobiona z fularu białego w grochy popielate, przedstawia fason jaki niektóre pracownie paryskie, wysuwają na pierwszy plan w modelach letnich, chcąc skasować zbyt wązkie suknie niemożliwe z lekkich materyałów, jako nazbyt oblegające. Spódnica w cztery bryty, z których dwa boczne krótsze jak tunika, dopełnia część oddzielna podszyta od spodu, pod górną pliską z gładkiego atłasu bleu de roi;





N. 1. Kostium spacerowy dla młodej osoby.

N. 1a.

N. 1a.

N. 2. Ubranie spacerowe.



N. 3. Ubranie wieczorowe z długą tuniką. N. 4. Ubranie balowe. N. 5. Ubranie wieczorowe.



N. 6. Suknia wizytowa (d'aprés midi). N. 7. Ubranie strojne wizytowe. N. 8. Suknia przybrana haftem.

pięć rzędów plisek zdobi suknię podług ryc. 2. Oryginalny stanik bluzkowy, przemarszczony poniżej ramion i u dołu, dopełnia z przodu część gorsecikowa trójkątna, naszyta pliskami z atłasu bleu de roi. Takież p l i s k i zdobią krótkie rękawy zakończone wykładem koronkowym: szmizetka z tiulu i koronki. Wielka rozeta czarna atłasowa ze środeczkiem złotym, dana przy pasku. Kapelusz czarny słomkowy przybrany różami polnemi.

N. 3. Ubranie wieczorowe z długą tuniką.

Odrobione z crêpe de Chine satiné blado - niebieskiej, na gładką spódnicę z trenem, ma długą tunikę równo ściętą u dołu, uszytą z voile jedwabnego *bleu royal* w pasy czarne aksamitne, zakończone szlakiem haftu jedwabiem czarnym i niebieskim i nitką złotą. Takiż haft pokrywa stanik z bardzo krótkim stanem, mocno wycięty, z krótkiemi rękawkami z muślinu cielistego. Pasek czarny aksamitny zapięty rozetą.



N. 9—9a. Suknia demi prinçesse dla młodej panienki, przerobiona z plisowanej.

N. 10—10b. Ubranie spacerowe dla młodej panienki, przerobione z przeszłorocznego.

N. 4. Ubranie balowe.

Suknia z miękiego czysto jedwabnego atłasu vieil or, pokryta jest z wyjątkiem bryta przedniego, crêpe de Chine (broché) w deseń złoty na tle blado-zielonem. Stanik kimono cały pokryty krepą ma kołnierz szalowy haftowany złotem. Na włosach opaska blado-zielona.

N. 5. Ubranie wieczorowe.

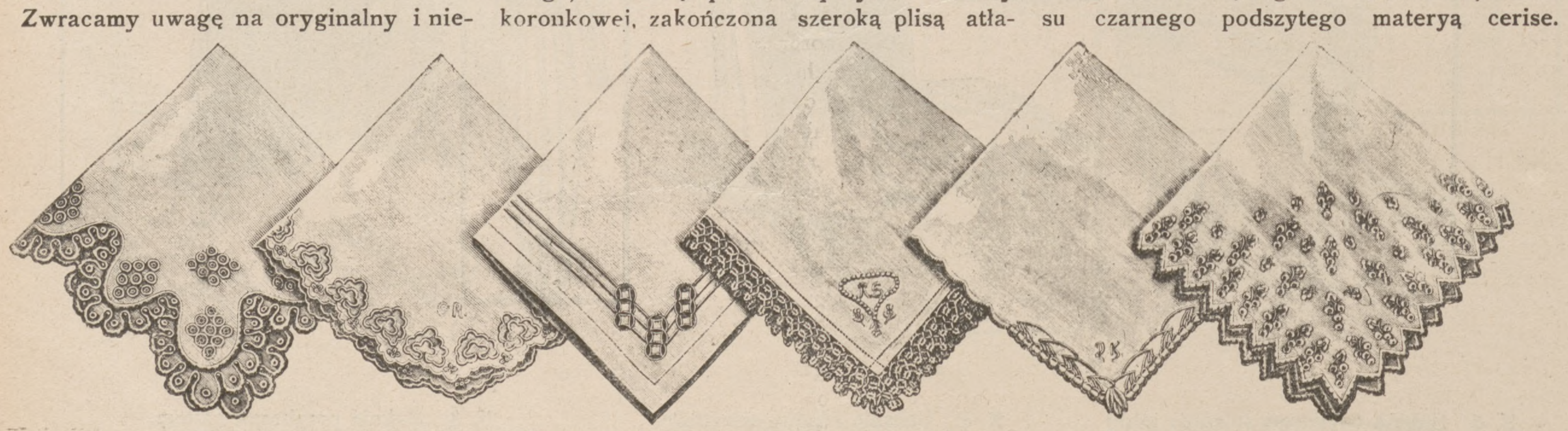
Zwracamy uwagę na oryginalny i niezmiernie modny układ całości, o nowym pomyśle w zestawieniu różnych materyałów, jak wymaga moda, a nadający się doskonale przy przerabianiu sukni. Model do ryc. 5 składa się ze spodniej sukni białej atłasowej w odcieniu ivoire, pokrytej bardzo długą prostą tuniką, z muślinu jedwabnego niebieskiego, na którą spada draperya z falbany koronkowej, zakończona szeroką plisą atłasową czarną. Na staniku z wykrojem kwadratowym, powtarza się połączenie tych materyałów w ten sposób, iż biały atłasowy stanik p r z y c i ś n i ę t y plastronem c z a r n y m atłasowym połączonym r a m i ą c z k a m i, z pod których spadają otwarte rękawki koronkowe.

N. 6. Suknia wizytowa (d'aprés midi).

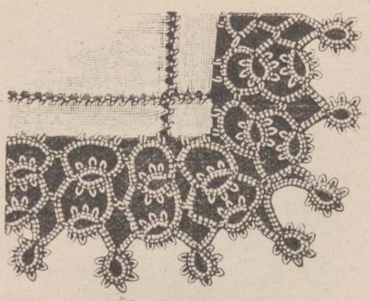
Model firmy paryskiej Beera wyróżnia się oryginalnem odrobieniem podług ostatniej mody, (jak zresztą wszystkie ryciny w dzisiejszym N. „Tygodnika mód"). Na pierwszy rzut oka całość przedstawia się skromnie, a jednak każdy szczegół jest obmyślony: fason, materyały, kolory, przybranie. Na spódnicy blado-niebieskiej z drap satin, naszyte u dołu modne plisy, dwie niebieskie trzecia z sukna białego. Stanik kimono wycięty podłużnie i długa tunika otwarta z boku jest z atłasu czarnego; rękawy czarne do łokcia, podszyte niżej trzema plisami i koronką. Kołnierz biały z niebieskim, zapięty pod olbrzymią kokardą białą z czarnym, przyciśniętą czterema niebieskiemi guzikami. Wykrój szyi podszyty koronką.

N. 7. Ubranie strojne wizytowe.

Odpowiednie na obiad proszony w małem kółku, składa się ze spódnicy z trenem uszytej z atłasu ivoire, i pokrytej prawie całkowicie tuniką w guście wschodnim, z atłasu czarnego podszytego materyą cerise.

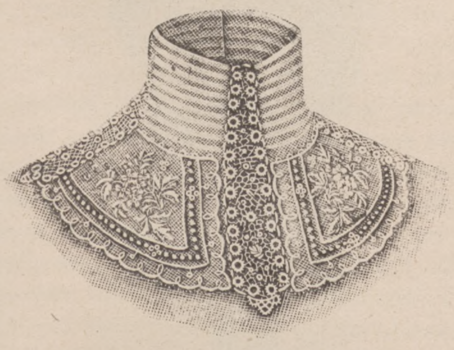


N. 11—16a. Chusteczki batystowe ozdobne.



N. 14a.

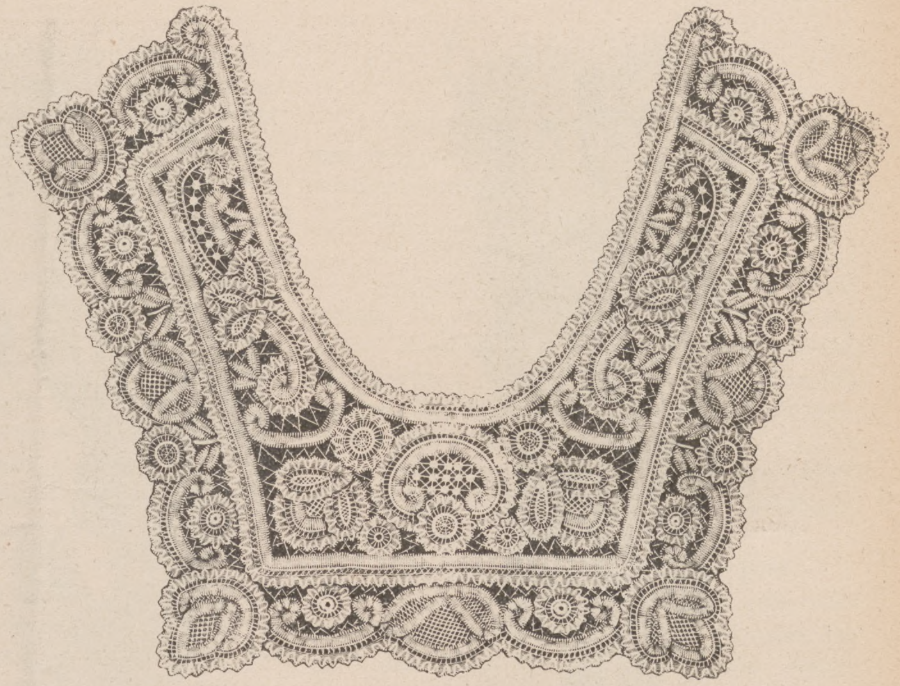




N. 17. Kołnierz tiulowy haftowany. Patrz ryc. 17a.



N. 17a. Haft atłaskowy na tiulu do ryc. 17.



N. 18. Kołnierz marynarski, robotą koronkową.

Oryginalny stanik kimono z atłasu cerise, z niezmiernie krótkim stanem, naszyty zamiast paska złotą pasmanteryą, ma kołnierz marynarski dopełniony z przodu podwójnemi ranwersami z atłasu czarnego i cerise; wysokie czarne wykłady u rękawów. Toczek cerise z czarnym.

N. 8. Suknia przybrana haftem.

Trzeci z kolei model paryskiej firmy Beera, jest nie mniej oryginalny jak dwa poprzednie i odpowiedni wyłącznie dla szczupłej osoby. Górna połowa stanika kimono wraz z rękawami i spodnia suknia jest z crêpe satin fijołkowej, zaś zwierzchnie krzyżowane z przodu i na plecach pokrycie stanika wraz z rękawami, tudzież tunika jest z atłasu czarnego. Wykrój szyi otacza szeroki haft złotem, a brzegiem tuniki i rękawów dane wyszycie złotem i jedwabiem naśladujące cabochons złote i ametystowe.

N. 9—9a. Suknia demi prinçesse dla młodej panienki, przerobiona z plisowanej.

W domu gdzie trzeba liczyć się oszczędnie z wydatkami, napewno chętnie będzie zastosowany ten praktyczny wzór jaki przedstawia ryc. 9. Jest to sukienka przerobiona bardzo zręcznie z plisowanej demi prinçesse, z wązkim brytem idącym w całej długości z przodu i wzdłuż pleców (bryty takie nazywają panneaux). Po spruciu plisowanej spódnicy, upraniu w panamie i uprasowaniu tak, aby wcale znać nie było zagięć, przykłada się formę na materyale, i przykrywa bryty boczne podwyższone gorsecikowo w górze (bryty panneaux zostają bez zmiany). O ile skróci się spódnica to przydłuża ją plisa z odmiennego materyału. Ze zbywającego materyału przykrawa się nowe przody i plecy bluzki, przymarszczone u dołu. Jak to widać na ryc. 9 i 9a, spódniczka zastebnowana jest od góry w zakładki, aby na biodrach leżała gładko; złączenie ze stanikiem kryje pasek. Kołnierz, zakończenie plastrona, wykłady u rękawów i plisa u dołu są z materyału użytego na przybranie. Do gładkiej wełny można dać aksamit, atłas lub wełnę w pasy bo będzie trwalsza.

N. 10—10b. Ubranie spacerowe dla młodej panienki, przerobione z przeszłorocznego.

Kostym tailleur z długim żakietem, zapiętym pod szyję, przeistoczy się zupełnie, gdy odetnie się od dołu i doda duży kołnierz marynarski, z przodu przedłużony szalowo, pokryty odmiennym materyałem, takież wykłady u rękawów. Spódnicę odświeży szeroka plisa, z boków podwyższona w górze i na części przedniej przypięta guzikami; tylny bryt tworzy panneau.

N. 11—16a. Chusteczki batystowe ozdobne.

Tło chusteczek liczy po 30 cent. w kwadrat i jest z batystu lub z najcieńszego płótna; pięć zdobi haft, szósta ma brzegi otoczone szlaczkiem friwalitowym; desenie do ryc. 11, 12 i 16 są naśladowane z wzorów dawnych, zaś do ryc. 13 i 15 są secesyjne. W szlaku do ryc. 11 kółka obrzucane zapełnione pająkami koronkowemi, ząbki brzeżne dziergane wypukło. Rycina 12 ma secesyjne liście obrzucone ściegiem kordonkowym, brzegi dziergane. Trzecia chusteczka zakończona 3 c. szerokim obrębem z kratką ażurową, nad którym idą trzy linje ściegiem kordonkowym na wywodzeniu wypukłem. Szlaczek friwolitowy do ryc. 14 dajemy w naturalnej wielkości na ryc. 14a. Chusteczka ryc. 21 z cieniutkiego płótna dziergana w zęby, ma tylko narożniki ozdobione listkami secesyjnemi, dzierganemi wypukle, ogonki ściegiem sznureczkowym. Chusteczkę ryc. 16 zdobi rzucik z listeczków haftowanych w wypukłe kółeczka z dziurką w środku; ząbki dziergane.

N. 17—17. Kołnierz tiulowy haftowany.

Stanowi bardzo ozdobne dopełnienie sukni lub bluzki, zarówno jedwabnej wełnianej lub letniej; na tle kolorowem haft odbija bardzo efektownie. Rycina 17a. przedstawia jedną gałązkę w naturalnej wielkości; tło pod haft musi być z tiulu w najlepszym gatunku, żeby sie nie ujmował i nie darł w praniu.

N. 18. Kołnierz marynarski, robotą koronkową.

Wykonany z tasiemeczki gładkiej i deseniowej, spajanej kratką koronkową i pajączkami. Forma marynarska jest bardzo modna obecnie i ładnie przybiera stanik.

Ubiory męskie.

Ażeby ułatwić paniom, dbałym o wytworną powierzchowność swoich mężów, braci, synów, dopilnowanie, w co mają ubierać się o różnej porze dnia, zamieszczamy wskazówki, podyktowane przez jednego ze znanych elegantów francuzkich, pana Marcelego Fouquier, który wraz z baronem Lejeune, księciem de Luynes, hrabią Lindemann dyktują modę męską w Paryżu. W Anglii nadaje ton lord Chesterfield, książe Westminster i lord Murietta; w Niemczech książe Ratibor, hrabia Woss i książe de Pless.

Otóż więc ubranie *d'un homme vraiment chic*, w godzinach rannych składa się z koszuli kolorowej, z kołnierzem wykładanym, bardzo nizkim białym i takiemiż mankietami; krawat ciemny bronzowy lub zielony; obuwie z żółtej skórki wycięte, sznurowane, albo z sukna piaskowego i skóry żół-



Garnitur tużurkowy.



Garnitur marynarkowy zapięty. Marynarka otwarta.



Paletot wiosenny.

tej. Garnitur marynarkowy koloru bronzowego, popielatego lub piaskowego, z kamizelką jaśniejszą w kratkę lub gładką. Kapelusz słomkowy lub miękki filcowy formą melonika, koloru popielatego; rękawiczki i chustka do nosa jedwabna, kolorowa.

Ubranie popołudniowe składa się ze spodni ciemnych, w paski lub kratkę, z kamizelki białej, z żakietu czarnego. Kapelusz cylinder z połyskiem, obuwie z lakierowanej skórki i sukna piaskowego, z guzikami z konchy perłowej. Koszula biała, krawat długi czarny, ze szpilką wpiętą bardzo nizko.

Wieczorne ubranie składa się z fraka z czarnego szewiotu, z wykładami jedwabnemi i z kieszonką w górze; kamizelka biała zapięta guziczkami fantazyjnemi, odpowiedniemi do garnituru zapinek u koszuli, spodnie szewiotowe, trzewiki lakierowane wycięte (zwane *escarpins*), skarpetki czarne jedwabne; rękawiczki białe, chustka fularowa biała; krawat biały wązki czyli kokardka motylek. Przy klapie u fraka założona gardenia, róża herbaciana lub groszek pachnący.

Koszule do strojnego ubrania modne zapinane wzdłuż całego przodu, aby można je wkładać wygodnie, bez gniecenia gorsu lub czuchrania włosów; gors powinien być zapięty jedną tylko zapinką. Nocne koszule modne z miękkiej japońskiej materyi.

Chustki do nosa przy wieczornem ubraniu noszą jedwabne, w ciągu dnia płócienne, lub batystowe. Najświeższa moda idąca z Anglii, zastępuje skarpetki długiemi pończochami, które wykwintni eleganci noszą jedwabne i nawet ażurowe, uważając że pończochy długie lepiej chronią nogi od kurzu i nie osuwają się jak skarpetki.

Laski modne trzcinowe z gałką złotą cyzelowaną; papierośnice modne z emalią kolorową. W kwietniu wiosenne wyścigi konne w Paryżu na Champs-Elysées, zgromadzają cały świat elegancki, zarówno panie jak i panów, a pierwszorzędne trybuny Grand Palais, stają się podobne do olbrzymiego salonu. Tam widziane ubiory męskie, przedstawiają niejako modele, rozstrzygające o modzie tegorocznej letniej. Robimy więc krótki przegląd — w godzinach rannych panowie noszą marynarki wygodne, zapięte na trzy guziki, dane pośrednio, niezbyt wysoko ani zbyt nizko; materyał stanowi wełna fantazyjna, w paski podłużne tego samego koloru (ton sur ton). Kieszenie dwie z boków, trzecia w górze, na lewej połowie przodu, bez klapki. Młodsi mężczyźni wolą marynarki otwarte, z szerokim kołnierzem szalowym, bez górnej kieszonki — takie są strojniejsze ale mniej praktyczne; pierwsze i drugie są dość długie i dopełnione spodniami z tego samego materyału. Kamizelka trochę jaśniejsza, bez kołnierza, zapięta jednym rzędem. W godzinach popołudniowych na Polach Elizejskich podczas wyścigów, spotyka się i żakiety, ale różniące się od żakietów noszonych popołudniu, zapięte jednym guzikiem i dopełnione spodniami, wsuniętemi w długie buty. Tak ubrani panowie przychodzą patrzeć na swoje konie, które będą brać udział w wyścigach. O godzinie trzeciej popołudniu panowie przybywający na wyścigi kładą ubranie wizytowe, to jest żakiet z długim stanem i bardzo długimi połami, zapięty na dwa lub trzy guziki dane nizko, uszyty z wełny w paski tego samego koloru, lub czarnej z odcieniem granatowym czy bronzowym, w prążki lub kratkę ton sur ton. Przy pierwszym spodnie są garniturowe, przy drugim będą popielate lub w odcieniu jaśniejszym (*bleuté*). Tużurki spotyka się również na trybunach Grand Palais, ale z materyału fantazyjnego ciemnego czy czarnego, lecz deseniowego; są one szeroko otwarte na białej kamizelce, mają długie wykłady; spodnie są trochę jaśniejsze, w połowie długości na kolanach 50 cent. u dołu 46 cent. szerokie.

Kaprysem mody jest aby żakiet, tużurek, frak, nie miały cech zbytniej świeżości, nie wyglądały jakby prosto od krawca włożone po raz pierwszy—przeciwnie zaś spodnie, kapelusz i rękawiczki muszą być nieposzlakowanej świeżości. *Światowy.*

CZESŁAW JANKOWSKI.

„ARMIA ZBAWIENIA".

(Z notatek turysty).

To też w szeregach Armii nie spotkać hrabiów i baronów. W szeregach Armii stek wyrzutków społeczeństwa, by się tak wyrazić, wypranych w atmosferze cnoty. Naturalnie, tu i owdzie dostrzec można nawet ex-światowca, nawet damę z najwykwintniejszych (czasowych) buduarów. Ale główny zastęp dostarcza Armii — proletarjat wielkich miast. Nędza i występek znajdują w jej szeregach

względny spokój ducha, rezygnacji i odrodzenia. Tu i owdzie — jakiś kuglarz obełgujący i Armię, i może siebie, ale to rzadki wyjątek. Po pilniejszem rozejrzeniu się po różnobarwnym tłumie salutystów, po głębszem wniknięciu w dusze ludzi tych niepowszednich odpada ochota posądzenia ich o złą wiarę, kuglarstwo lub interes.

Ale, powiedzą mi: piszesz pan apologię Armii Zbawienia! Nie, apologii nie piszę, jeno spisuję to, na co patrzyłem i to, co — jest. Ale, powiedzą mi: toć chyba nie widziałeś pan i nie słyszałeś tych hucznych pochodów Armii, tych śpiewów nabożnych w takt radośnych marszów, na nutę pobudek wojskowych i fanfar wesołych, chyba nie ogłuszyła pana nigdy ich kapela z bębnów, klarnetów i tamburynów złożona, wtórująca modlitwom? A cóż to jest u licha? To kuglarstwo, panie, humbug, szarlataństwo, a w najlepszym razie komedja, chęć zaimponowania, zwrócenia na siebie uwagi, drwiny i kpiny!

Ja zaś na to: W istocie, każdy występ Armii, czy to w sali, czy po za salą zgromadzeń, to najrzetelniejsze naruszenie publicznego spokoju. Istotnie, takich *szopek*, jak te, które salutyści wyprawiają, nie ścierpiałaby w murach swoich żadna świątynia. Istotnie, na człowieka nieco delikatniejszych uczuć i nerwów, takie kontorsye salutystów, ich „Alleluja“ i „Ameny“, ich przedewszystkiem cała organizacya militarna, wojującego z szatanem stowarzyszenia, sprawia wrażenie niesmaczne, zgoła zbytecznem wydaje się zachwaszczeniem pożytecznego i dobrego w gruncie przedsięwzięcia. Istotnie, człowieka delikatniejszych uczuć i nerwów cała chaśliwość Armii razi, a nawet zraża do niej. Po co te mundury, rangi, bębny trąby, pochody, potyczki? Czyż, na miły Bóg, apostoł nowożytnej cnoty rozjeżdżać musi koniecznie po świecie w granatowej kurtce, czerwonej koszulce i dmąc przeraźliwie klarnet? Dlaczego u licha ta Armia głosi w tak dobre zasady—w tak dziwaczny sposób?

Dlaczego? Zdaje mi się dla tej prostej przyczyny, że na każdym rynku i w każdym kraju im kto głośniej krzyknie, tem więcej się ludzi doń zbiegnie i tem dalej głos jego sięgnie. Zdaje mi się, że cała bombastyczna i dziwaczna organizacya Armii, to— najzwyklejsza—reklama, o! bardzo szacowna zresztą reklama, bo reklama — dla cnoty. Cel tym razem uświęca środki. A zaś, nie traćmy z oczu, że „Armia“ „operuje“ głównie niemal wyłącznie w tych sferach, gdzie już żadna „nadzwyczajność“ zgoła wrażenia nie czyni; gdzie suknia kapłana, szary tużurek filantropa, książka, przykład, nie działają już. Aby *zwrócić uwagę* na siebie, trzeba do tych sfer iść może nie takim akurat, jak salutyści pochodem, ale w każdym razie iść trzeba z hałasem i łoskotem. To jedno. A powtóre prawie ręczyć mogę, że znaczna część pospólstwa, zaciągającego się do szeregu Armii, czuje się bardzo i bardzo zadowoloną z możności pośpiewania sobie, potrąbienia, pobębnienia na zgromadzeniach. Te „wesołe“ nabożeństwa wielu, bardzo wielu, znakomicie przypadają do gustu. Armia, zastosowała na swój sposób aksyomat *ridendoccartigare, mores,* właściwie nie *ridendo* ale muzykując, wiwatując i wykonywując, hygieniczne zresztą bardzo, marsze wspólne i kontramarsze. Toć przecie dla takiego wyrobnika, dla jakiejś szwaczki nowoczesnej, dla jakiegoś muła w tartaku codziennej pracy, takie „nabożeństwo“ Armii to prawdziwa rozrywka, istny bal, istny wypoczynek, a „potyczka“ gdzieś za miastem w niedzielę, to istna— majówka. Do takich nabożeństw lgną ludziska biedni, smutni, zapracowani i zamknięci w głuchych murach przez dzień cały. A że wśród pobrzęków tamburynów, wśród melodyi marszowej pieśni, w takt skocznych hymnów padnie do duszy jakie zbożne, dobre słowo, jakieś napomnienie, choćby tylko imię Chrystusa, zapewne, razi to, ale.. niech już tylko padnie w duszę ludzką, niech tylko padnie!..

* * *

A że dziwaczne stowarzyszenie nie rzuca na wiatr posiewu swego, dowodzą cyfry.

Armia Zbawienia ma członków swoich, oraz siedliska swe w 29 krajach. W Szwajcaryi zjawia się w Grudniu 1882 r. i liczy dziś tam 3.000 żołnierzy i 250 oficerów. Na świecie całym Armia ma przeszło 8 000 oficerów dowodzących 30.000 korpusami. Londyńska sala zgromadzeń Armii może pomieścić osób siedzących 30.000, Armia wydaje książki, broszury i czasopisma w kilkunastu językach. Organ jej fraucuski *En Avant*: bije tygodniowo 15000 egzemplarzy; w samej Szwajcaryi wydaje Armia 3 tygodniki: *Le Cri de gucrre*, *Le jeune soldat* i *Kriegsruf*. Organ Armii w Anglii nosi tytuł *War Cry*, w Niemczech *Heilsrut*, we Włoszech *Il grido di guerra;* w Indyach, w Australii, w Kanadzie ma Armia organa swoje. Czasopism ogółem wydaje Armia 50 w ośmnastu językach, rozchodzi się tych czasopism, bądź w prenumeracie, bądź w gratisowem rozdawnictwie ogółem rocznie *42 miljony* egzemplarzy.

Z fundacyi i pod zarządem Armii powstały w różnych krajach 290 przytułków nocnych, 12 przytułków dla więźniów, którzy karę swoją odbyli, 6 kolonii gospodarczych, 68 tanich kuchen, 6 żłobków, 2 szpitale, rozliczne biura wywiadowcze dla szukających zajęcia, wiele przytułków dla ludzi pozbawionych pracy, dostarczających dziś zajęcia 17000 osobom różnej płci, 50 przytułków dla kobiet upadłych, wróconych na drogę cnoty (maisons de relévement) etc. etc. Obecnie wszystkiego tego, po latach kilkunastu, musiało — przybyć. *(c. d. n.).*

Z DOŚWIADCZEŃ ŻYCIA.

Piękny frazes—jest łatwy do zbudowania. Odpowiedni mu czyn trudniejszy. Bacz, aby piękne słowo twoje z czynem szło zawsze w godnym rytmie. *..a.*

Dobry kupiec.

Gdyby mnie kto zapytał, czego w pierszej linii wymagam od dobrego kupca, powiedziałabym bez zawahania: *uprzejmości.*

Jakto! Chyba uczciwości?

A jednak nie.

Uczciwość firmy oceniam dopiero post factum, to jest wtedy, kiedy zużywam dany towar. Wówczas cieszy mnie jego solidność, przystępna w stosunku do wartości cena, lub martwi, źle załatwiony sprawunek i bezpłodnie wydany duży nań pieniądz.

Tymczasem uprzejmość oceniam z miejsca, a brak jej truje mi zakup, zniechęca, gniewa, często—oburza.

Taki jest kupiec, jaka publiczność.

Dajmy na to, że publiczność jest mało grzeczna, nieumie należycie cenić czasu tego, który jej służy. Przychodzi nie zdecydowana. Nie określiła życzenia w sobie samej, a wybieranie w sklepie towaru, zużyje cierpliwość anioła, cóż dopiero człowieka, na którego czeka drugi, trzeci, dziesiąty klijent. Publiczność potrafi zrobić milion nieprzewidzianych, a żadnym kodeksem nie objętych przekroczeń. Potrafi wejść w kaloszach na najpiękniejszy błękitny dywan magazynu. Potrafi położyć mokry parasol na kontuarze, na którym są rozrzucone sztuki materyi. Potrafi ręką ubraną w czarną nie nazbyt świeżą rękawiczkę probować gatunek jasnej materyi, lub mierzyć kapelusz z biało podbitym rondem.

Potrafi przyjść z zamiarem kupienia czarnej wełny, a przerzuciwszy kilkadziesiąt jej sztuk kupuje... różowy adamaszek. Publiczność potrafi się *targować* w pierwszorzędnych, najsolidniejszych firmach. Publiczność potrafi wziąć ciastko *ręką* i położyć je napowrót. Potrafi zjeść cukierek i nie kupić nic. Sprobować winogron, z najpełniejszych gron obrywając po ziarnku z 10 koszyków, a potem zażądać pół funta winogron za 10 kop. lub nie żądać wcale winogron. Publiczność potrafi głośno, w solidnej firmie, robić wymówki, że coś było kiedyś niezupełnie dobre, co się zdarzyć może wszędzie, ale o czem głośno przy innych kupujących nigdy mówić się nie powinno. Publiczność o byle co się *obraża*, wychodzi zadąsana.

Publiczność potrafi zdobyć się na herezye najmniej spodziewane, nieoczekiwane, nieprzewidziane.

Co ma robić wobec tego kupiec?

Kupiec ma być wobec wszystkiego,— bezbrzeżnie uprzejmym. Kupiec musi z anielską łagodnością, z uśmiechem wszystko kierować ku najlepszemu załatwieniu sprawy, nabycia towaru. Podziękować za wszystko, wtedy nawet, kiedy ta publiczność nie tylko nie kupuje, ale jest szkodnikiem.

A jeżeli się zdarzy, że kogoś trzeba wyprosić ze sklepu, to *dobry* kupiec nawet to powinien zrobić z taką galanteryą, z takim honorem, aby się klijent ani spostrzegł, kiedy drzwi magazynu już się za nim zamknęły. Tak. Ale któż to jest w stanie zdo-

być się na tyle zimnej krwi, na tyle zaparcia, na taką uniżoność?..

— Dobry kupiec.

Niema i nie może być w tym przedmiocie rezonowania. Publiczność musi zawsze mieć racyę, bo ona przynosi pieniądz, kupiec nie może jej mieć nigdy, bo pieniądz ten mu potrzebny i za cenę zaparcia się siebie zdobywać go musi.

Nie idzie nam o uniżoność, która czasem bywa nieznośną, ale pewna życzliwość względem przychodzącego choćby niemiłego, jednak z dobrym zamiarem, bo z portmonetką klijenta i równa dłań grzeczność, to powinny być przykazania dla sprzedających.

Któż z nas, kto ma do czynienia z publicznością, nie wie, że kaprysy jej, żądania, często już nie śmieszą, ale złoszczą.

Wiemy o tem, bo nam to życie niesie. Wiemy także, że godność salwować na każdem stanowisku można i należy, ale że w sklepie, kantorze, redakcyi, kasie, obowiązującą i bezgraniczną musi być uprzejmość, zawsze uprzejmość—o tem także powinnibyśmy wiedzieć wszyscy.

Czy wiemy?

L. Kotarbińska.

COLETTE YVER.

ADWOKATKI.

POWIEŚĆ

przekład z fran. Zofii Sokołowskiej.

17)

Andrzej bardzo wolno przychodził do zdrowia. W Pałacu przestano zajmować się nim; wszystko szło po dawnemu, brakowało tylko dwóch adwokatów, ale na to nikt nie zważał.

Fabrezan, zawsze zapracowany, od czasu do czasu szedł na plac Dauphine uścisnąć rękę młodego kolegi, cieszył się jego radością i szczęściem Henryki. Odprawiono wszystkich klientów, ważniejsze sprawy odroczono, mniejsze oddano Maurycemu Servais. Pani Marty spodziewała się, że to przeciągnie się aż do wakacyi, skutkiem czego syn zostanie u niej do jesieni. Babunia wróciła do Rouen, zachwycona wnuczką: obydwom zdawało się, że kochają się czule. Henryka wolna od kłopotów swego zawodu, była tylko zajęta ukochanym mężem, którego omało nie straciła. Fabrezan nie mógł się jej odchwalić: zawsze przy boku Andrzeja, pieściła go i pocieszała, zupełnie zapominając o sobie. Andrzej czasem niepokoił się, gdyż skutkiem choroby strony głosowe ucierpiały. Czy to przejdzie? Czy on odzyska głos? Henryka w głębi duszy podzielała jego obawy, uspokajała go jednak, zapewniając, że pobyt u wód usunie tę dolegliwość. Kazała mu podnosić głos przy Fabrezanie, żeby się przekonał o polepszeniu.

— Oto są kobiety—myślał stary adwokat—co ona mi prawiła dwa miesiące temu o zamiłowaniu do swego zawodu: „Całą duszą jestem oddana memu zawodowi... Małżeństwo w niczem mię nie umniejszyło. Mam tę samą indywidualność, jak kiedy byłam panną“. Aha, właśnie! Przyszła obawa o życie ukochane i oto widzę ją szalenie przywiązaną do męża, któremu w swojej dumie nie dowierzała przedtem. Dosłownie wyrwała go śmierci, dokonała cudu. Już niema mowy o własnej indywidualności, ani o stawaniu przed kratkami: mąż pochłonął ją zupełnie, a co najdziwniejsze, ta mała nie posiada się z radości. Ocaliła go. Pałac może runąć obok niej... Nie, postać świata nie ulegnie zmianie: u kobiet miłość zawsze weźmie górę nad wszystkiem.

Nadeszło lato. Andrzej bardzo wolno odzyskiwał siły, ale było mu dobrze w domu, umilonym obecnością ukochanej Henryki. Pragnął żeby nie opuszczała go na chwilę, jak gdyby jeszcze obawiał się rozłąki. W gorące dni lipcowe i sierpniowe, kiedy niebo paryskie przybiera barwę rozpalonego ołowiu, a głuchy turkot miejski podobny jest do grzmotu nadciągającej nawałnicy, Henryka czytywała mu powieści. W cichym jasnym saloniku kryształowe wisiorki żyrandola weneckiego odbijały się w zwierciadłach, a dźwięczny głos żony kołysał Andrzeja. Była to dla nich doba niezamąconego szczęścia.

Wieczorem Henryka wychylona przez okno, patrzała na trójkątny plac, gdzie za czasów Św. Ludwika rozpościerały się ogrody królewskie, a śród gajów zielonych, skropionych wodami strumyka, wznosiły się ptaszarnie. Wyobrażała sobie piękną królowę Małgorzatę w wysokim czepcu, przechadzającą się po alejach, smutną i poważną, jak przystało małżonce świętego monarchy. Podniósłszy oczy, widziała stary pałac, w którym mieszkała dostojna i cnotliwa para. Królowa miała tam swoje komnaty, nazwane poetycznie pokojem wody różanej, izbą białą, izbą kąpielową, izbą paradną... Jak wyglądała biała komnata? Miała pewno lamperye marmurowe, obicia ze śnieżnego adamaszku, sufit malowany w lilie, a posadzkę zasłaną białemi różami. Piękna królowa budziła się o świcie, czekając aż święty małżonek raczy ją odwiedzić.

— Co robisz najdroższa?—pytał Andrzej.

— Nic—odpowiadała Henryka.

Wyciągnąwszy szyję, widziała białe schody i siwego lwa kamiennego. Niegdyś w wielkiej sali parlamentu stał lew złocony z łbem spuszczonym, z podwiniętym ogonem na znak, że najwięksi wchodząc tu powinni się upokorzyć“. Przypomniała sobie uroczyste zdanie starego kronikarza: „Lwy przy tronie Salomona to samo oznaczały“.

W południe, słońce zalewało schody, uwydatniając potężne kształty lwa; po stopniach wstępowały tłumy poważnych ludzi sędziów, adwokatów, pisarzy, dążąc na posiedzenia. Służący przychodził prosić pani na śniadanie. Andrzej ściskał żonę z radością, nie widząc smutku na pobladłej twarzyczce.

Dopiero przy końcu sierpnia mieli wyjechać do wód, tymczasem kazano Andrzejowi odżywiać się i wypoczywać. On ciągle jeszcze lękał się o swój głos, z którego był tak dumny i radził się specyalistów. Nie wolno mu było pracować, ale liczył na to, że w jesieni będzie mógł podjąć na nowo tę wielką sprawę o oszustwo. Wtedy głos jego odzyska dawną siłę i dźwięczność. Gabinet jego był zamknięty, żeby mu oszczędzić nawet pokusy; Henryka znów nie miała czasu pracować, stawała jednak czasem na progu i patrząc na biurko, na którem leżały wszystkie papiery procesu pani Marty i gotowy plan obrony, wzdychała.

Nieraz w nocy śniła jej się sala sądu karnego; tęskniła za kolegami, za klijentami, za gwarną salą *des pas Perdus*, nawet za togą...

Raz, po śniadaniu, kiedy Andrzej się zdrzemnął, nie mogła już wytrzymać i włożywszy kapelusz, wybiegła z domu: Pałac Sprawiedliwości, ów świat odrębny, pełen ruchu i gwaru, pociągał ją z siłą magnesu; ulegała bezwiednie tej potędze, której była służebnicą. Nie śmiała jednak wejść i krocząc zwolna bulwarem, niby turystka, spoglądała na starożytny gmach, który budził tyle wspomnień przeszłości. Tu odbywały się festyny królewskie, tu ugaszczano cesarzów w wielkiej sali, malowanej złotem i lazurem, z posągami królów na każdym filarze. Wspaniała jego fasada miała pięćdziesiąt trzy okna gotyckie.

W miarę jak Henryka wpatrywała się w stary pałac, przed jej oczyma przesuwały się zdarzenia historyczne, o których czytała. Marszałek dworu Hugona Kapeta, dotknąwszy się laską relikwi Św. Magloryusza, wystawionych w wielkiej sali, dostał napadu szaleństwa. W dzień Zmartwychwstania król Robert przywrócił wzrok niewidomemu, pokropiwszy go wodą z miednicy, w której umył ręce. Jan Bez Ziemi tu przemieszkiwał. Ś. Ludwik, godzien uwielbienia pasterz ludu, pozostawił w tym gmachu mistyczne, niewygasłe wspomnienia. Królewna Małgorzata umarła tu na zarazę. W tej przepysznej wielkiej sali, która przez długi szereg wieków była prywatną widownią polityki europejskiej, Franciszek I otrzymał wyzwanie Karola V.

Później, handel paryski garnął się pod skrzydła pałacu: w kramach rozkładano koronki, hafty, galony, cacka przerzucane rączkami pięknych dam Frondy, kiedy tymczasem wewnątrz zasiadał parmalent, dusza wielkiego grodu.

Henryka coraz więcej dawała unosić się wspomnieniom. Długa fasada o regularnych oknach wysunięta naprzód i okrągła, średniowieczna wieża Cezara z blankami, przerywały jednostajność gmachu, w którym mieścił się sąd kasacyjny. Nakoniec ukazał się łukowy portyk Conciergerie, zczerniały, wciśnięty między dwie olbrzymie wieże go-

tyckie, podobne do warowni lub więzienia, z oknami wązkiemi jak strzelnice — wieża Srebrna i złowroga wieża Bon Bec, gdzie zadawano tortury.

Przed oczyma Henryki odżyły dzieje odwiecznej potęgi sądowej z jej szkaradami, wielkością, burzliwością, majestatem prezydentów w galonowanych biretach i kanclerzy w gronostajach, spółzawodnictwem, wskutek którego toczyła nieustanną walkę z władzą królewską. Obok niej rozwijało się świetnie bractwo Św. Mikołaja, korporacya adwokatów i prokuratorów, czcigodna, pyszna, wspaniałomyślna, upojona własną godnością, obsypana przywilejami i swobodami, sama stwarzająca sobie szlachectwo. Zdaniem jednego z adwokatów, początek ich zawodu sięga „Słowa Przedwiecznego, które broniło przed Bogiem sprawy potomstwa Adamowego". Inny utrzymywał, że ten zawód to najkrótsza droga do nieba. D'Aguesseau wysławiał jego niezależność, pisał na jego cześć dytyramby. Merlin woła z napuszonością: „Cała kula ziemska należy do adwokata!" W czasach, kiedy sprawiedliwość była wszechpotężna, ciasna i posępna, obrońca zaiste miał przed sobą wzniosłe zadanie. Henryka czuła, że ciąży na niej chwała przodków, których była dziedziczką.

(c. d. n.).

Wywiad z powodu urządzania balkonów

u p. Nagaya.

— Czy jest już jakie ożywienie w kierunku zdobienia miasta i ubierania balkonów? Oto pierwsze pytanie jakie zadałam p. Nagayowi.

— Nawet duże. Mamy zamówień, na szufladki i flance setkami.

— A czy odpowiednie zapasy pan porobił?

— Zdaje mi się, że nietylko flanców mi nie zabraknie, ale że wskutek właśnie dużych ich hodowli, ceny będą mogły być znacznie niższe, aniżeli w roku ubiegłym. Tą informacyą uprzedził p. Nagay moją największą troskę, bo właśnie o tych cenach mówić miałam.

Balkon, wystrojony kwieciem jest nie tylko śliczną ozdobą, ale miłym miejscem wypocznienia. Jeżeli jednak koszt zamienia go w luks niedościgniony—chybia założenie swego celu.

Otóż zapewnia nas p. Nagay, który od początku stawił się, przed laty trzema na nasze wezwanie, i możemy śmiało powiedzieć z poświęceniem czasu, bardzo mało oceniając swą pracę, w kierunku zachęty publiczności zrobił bardzo wiele, że roślin ma zamówionych 200,000 i 50,000 flanców pelargonii.

Firmy Br. Hoser, Bursiaka, Elksne ze stacyi Włochy—i inne dostarczą tych dużych zasobów, które balkony miejskie muszą pochłonąć, nie licząc krzewów wina dzikiego, bluszczu i roślin z ziarna sianych.

Sądzimy, że znać będzie na Warszawie to barwne kwiecie, i że zamiłowanie starannych gospodyń, nie zrobi zawodu panom ogrodnikom, którzy przystępnemi cenami, chcą nam umożliwić zadowolnienie estetycznych rozkoszy.

Słońce ogrzało już świat. Zeszłoroczne wino, które dla próby zostawiłam na balkonie przezimowało szczęśliwie i zielonymi okryło się pączkami. Czas myśleć o zmianie zmurszałych deseczek w szufladkach i o przygotowaniu ziemi pod świeże flance. Koniec maja, o ile ciepło dopisze—poruszy ziarenka do życia i druciane szare gniazda, zamienią się w piękne kwietniki, których, oby było setki tysięcy! Jest to w ręku kobiet i spodziewać się należy że zrobią one wiele dla ozdoby naszej Warszawy.

L. K.

W sprawie naszych konkursów.

Rozpatrując się w materyale konkursowym z działu ręcznych robót, znajdujemy i piękne roboty i piękne w nich pomysły.

Ofiarowała nam jedna z łaskawych naszych Prenumeratorek poduszkę do sprzedania, z przeznaczeniem osiągniętej ceny na ochronę imienia Sienkiewicza.

Inna z pań ubranko dziecinne uszyte własną ręką, czego, jak pisze, nauczyła się z „Tygodnika",ślicznie, wzorowo odszyte z zapasowymi nawet guziczkami w kieszonce, dostaliśmy dla biednego dziecka, za co wdzięczni jesteśmy niewymownie.

Wszystkie roboty są ładne, gustowne i niebawem ogłosimy rezultat orzeczeń.

Jeżeli by, która z pań życzyła sobie coś sprzedać, może naznaczy cenę a chętnie pośrednictwa się podejmiemy.

R.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Wszystkim Sz. naszym Korespondentkom, które nie zapomniały o życzliwym dla nas słowie z okazyi dni świątecznych, serdeczne przesyłamy podziękowania. Objawów dobroci nigdy nie zadużo, a nie szczędząc ich wzajemnie przysparzamy sobie wiele chwil radosnych w życiu.

Nieszczęśliwej i nerwowej... Bardzo współczujemy pani smutkom. Nieszczęściem to jest ta sprawa, która nachodzi na człowieka jak burza. Szarpie nim, targa, gnie — szczęście, jeśli nie łamie. Młoda pani jest—jeszcze życie do szczęścia. Gorzej z *nerwami.* Bo, jeżeli pani, sama się nie weźmie mocno w ręce własne i nie opanuje nerwów, to one dopiero rozgoszczą się w słabym organizmie i naprawdę życie zniweczą. Niech się pani kontroluje i będzie dla siebie twardą. Szkoda na *zdenerwowanie* czasu. A jest taka chwila, w której się uratować można jeszcze, prosimy wziąć te słowa do serca. Kapelusz niech pani poleci sobie zrobić z czarnej słomki cały, toczek. Ma pani różne fasony w 15 N-rze pisma. Są głębokie, na podróż dobre, kryją głowę i wyczyści pani nawet szczotką o ile się na bryczce zakurzy, a wyschnie—jeżeli zmoknie. Nie ubierać na ten cel niczem. Dwa skrzydła z tej samej słomy lub pukiel—wystarczy. Płaszczyk można szary, z czarnym kołnierzykiem i mankietem i z czarnymi guzikami. Suknia im gładsza tem lepsza. Może być kołnierz krepowy, na wierzch przygniecony duży, takich jaki dajemy modele białych. Nie zgniecie się w walizie, bo łatwo go ułożyć i suknię zrobi żałobną. Przezroczystych karczków do żałoby—nie radzimy. Natomiast może pani nosić bluzki batystowe na dnie upalne.

P. Iwen. Każdy skład apteczny: Spiessa, plac Teatralny i wyśle i poinformuje.

P. Jadwidze T. Tylko do doktora. Nie można lekceważyć, ani używać półśrodków tam gdzie chodzi o dziecko.

P. Stefan... I ładny i modny i napewno... do twarzy. Byle dobrze zrobić i najskromniej.

Prenumeratorce z Łodzi. To co pani opowiada jest niezawodnie następstwem całego jakiegoś osłabienia organizmu i nie do nas, ale do lekarza panią odsyłamy koniecznie. Do desynweltury względem braku urody namawiamy zawsze—ale jeśli to są przyczyny wewnętrzne, leczyć należy. W Warszawie Dr. Wolska-Rościszewska (Piękna 41).

Pani z Brejna „Illustration" lub Le monde illustré". Każda księgarnia przyjmie pronumeratę. Gebethner i Wolff. (Sienna 12,) Wende (Krak-Przedmieście 9). Sadowski, (Złota 8).

P. S. J. Wyprawę niech pani powierzy p. Aleksandrze Grabowskiej (Ogrodowa 24). Doskonale szyje i daje bardzo dobre wykończenie. Znaczy prześlicznie. Większa pracownia jest H. Zbranieckiej (Królewska 17) i zakład Ś-tej Marty (Nowy-Świat 51). Ale p. Grabowskiej robotę znamy. Ceny umiarkowane i dokładność zupełna. Jeżeli łaska, to prosimy na „fundusz przezorności" według uznania. A Tej, dla której szyje się wyprawa przesyłamy serdeczne „Szczęść Boże!"

OFIARY.

Leopold Buland dla Henia i Sylwka rb. 2.
Hoffman dla ociemniałego Filanowskiego rb. 2
Witold i Heniuś Popierelscy:
dla Henia i Sylwka rb. 3,
dla wdowy z dziećmi „ 3,
dla wdowy z córeczką na maszynę „ 2,
dla ociemniałego Filanowskiego „ 2

Koniec działu redakcyjnego.

Z dziedziny kosmetyki.

Stokrotce. Za miłe słówka, dzięki. Rady nasze są prawie zawsze skuteczne, nie ośmielalibyśmy się narażać na zawód tak nam życzliwe i tak łaskawe na nas Czytelniczki.—Krem *Preciosa* usuwa całkowicie pręgi ciemne na szyi, jeżeli tu mowa o usuwaniu czegoś, należy rozumieć zniknięcie owej wady a nie zatuszowanie jej. Otóż *Preciosa* nie zabiela szyi, ale ją wybiela przez zupełne usunięcie owej ciemnej barwy. Ten sam środek niszczy piegi i opaleniznę, działając nadzwyczaj łagodnie, nie zaogniając skóry, co zwykle ma miejsce przy użyciu innych środków przeciwpiegowych.

Wdówce. Chcąc resztę włosów ocalić, trzeba skrapiać głowę codziennie przy rannem czesaniu płynem zwanym *Tetral Tissota,* przyczem co dziesięć dni czyścić głowę pudrem *Florentine* na sucho, nie maczając włosów wodą. Po zużyciu całej zawartości flakona płynu *Tetral,* jeżeli nie nastąpi znakomite polepszenie, trzeba zaprzestać używaniu *Tetralu* i zwilżać skórę na głowie ekstraktem z pokrzyw nazwanym przez wynalazcę *Salvol.* Środek to doskonały, ale użytym być powinien dopiero wtedy, gdy *Tetral* okazuje się zbyt słabym.

L. z nad Niemna. Na łuszczenie skóry trzeba w dalszym ciągu myć twarz bez mydła *Otrąbkami Abaridowemi* i bezwarunkowo na noc smarować *Abaridem.* Rozszerzenie naczyń krwionośnych można wyleczyć masażem pneumatycznym, stosowanym codziennie. Żółte plamy usunie *Preciosa,* której jednocześnie z *Abaridem* używać nie można. Usunąć przedewszystkiem plamy, a potem stale używać *Abarid.* Na uregulowanie żołądka *Zioła Paragwajskie* będą najstosowniejsze, gdyż działają nadzwyczaj łagodnie i czyszczą krew znakomicie.

Obywatelka. Zmarszczki na twarzy wygładzi pani w parę miesięcy zupełnie, przy systematycznem stosowaniu *Abaridu* i masażystki pneumatycznej *Heros. Abaridem* trzeba twarz namaścić cienko na noc, przed samem położeniem się do łóżka. Rano umyć twarz *Otrąbkami Abaridowemi* i opłókać ciepłą wodą, po umyciu, bezpośrednio należy robić masaż, który nie powinien trwać dłużej niż 15 minut. Po masażu i dokładnem wyschnięciu twarzy popudrować bardzo lekko pudrem *Abarid.* Cała ta procedura nie jest zbyt uciążliwa, a skutki zawsze są zadawalniające. Obawa, że *Otrąbki abaridowe* wysuszają skórę jest płonna, całą właśnie zaletą tych Otrąbków jest własność, że skutkiem swej neutralności służą do subtelnego oczyszczania tak tłustej, jak i suchej skóry, przyczem niezamulają porów skóry, lecz całkowicie je otwierają, przez co masaż pneumatyczny ma wielce ułatwione zadanie, łatwiej wysysa z pod skóry nagromadzone pokłady, tamujące dopływ ożywczej krwi do zamierających muskułów. Na odtłuszczenie podbródka zbyt wydatnego, jak również karku, kłębów, żołądka, dzielnie dopomaga krem *Uniqre,* mający własność pochłaniania tłuszczu. Tutaj również usługi swoje odda masażystka *Heros.*

Wszelkie środki tutaj omawiane, mają zawsze na składzie firmy: *„Perfection"* (Szpitalna 10), *Paszkowski* (Marszałkowska 109), w Łodzi *Spiess,* w Wilnie *Segal,* we Lwowie *Pawłowski* (Akademicka 21). Na zapytanie w tym zakresie, odpowiedź się znajdzie w najbliższym numerze. Na kopercie upraszamy o dodanie *„Dział Kosmetyczny".*

Telimena.

— Czytałeś książkę hrabiego Wittego o konstytucyi?

— Po co? Ja jego konstytucyę codziennie na swoim grzbiecie czytuję i to mi wystarcza.

„Mucha".

Odpowiedzialna za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chołoniewska, Kraków, ulica Zyblikiewicza, 8.

Redaktor Wacław Podwiński. **Kierowniczka działu literac. i praktycz: Lucyna Kotarbińska. Wydawnictwo i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-w.**

Klisze i druk wykonane w zakładach graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.